



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 2 sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

Pierwsze rezultaty jednodniowego spisu podane już są do publicznej wiadomości; dzień 9 Lutego r. b. zastał w Warszawie ogółem 387,183 mieszkańców obu płci, oprócz załogi wojskowej, która wynosiła 19,078.

Prawdziwych warszawiaków i warszawianek, to jest takich, którzy „kamieniem siedzą” w Syrenim Grodzie, nawet bez nadziei doczekania się wodociągów i kanalizacji, jest tylko większa połowa, bo 226,063; resztę stanowią mieszkańcy niestali i przyjezdni.

Ze względu na wykazy statystyczne, płeć piękna górą; kobiet bowiem jest w Warszawie o jakie 20,000 więcej, niż mężczyzn; stosunek to wcale normalny, jak na zwyczajne warunki życiowe. Co innego, gdyby Warszawa była... salą balową, wówczas ta nieszczęśliwa przewyżka z konieczności „sprzedawałaby pietruszkę”.

Dowiedzieliśmy się też, dzięki spisowi jednodniowemu, że officyn w naszym mieście więcej od domów frontowych, bo tych pierwszych stoi 7,321 a ostatnich tylko 4,554, — co razem przedstawia 77,513 lokali mieszkalnych, czyli, że przeciętno na jeden lokal przypada osób 5. Szkoda, że statystyka nie podaje nam kubicznych wymiarów owych lokali; okazałoby się wtedy, jak mało one odpowiadają względem higienicznym i jak „przeciętny” warszawiauin dusić się musi w swoim własnym „przeciętnym” domu, jeżeli nie odzwyczaił się od wciągania za każdym oddechem całego litra czystego (?) powietrza.

Nierównie bardziej zajmującymi będą szczegóły, których sekcya statystyczna pod przewodnictwem p. Witolda Załęskiego zaczerpnie z materyałów

zebranych w dniu 9 Lutego pod względem oświaty, wyznania, narodowości, wieku, zatrudnienia i tym podobnymi. Te dane dopiero pozwolą nam wyciągnąć poważniejsze wnioski i ocenić właściwe znaczenie „przeciętnego” warszawiaka, według tego, czem się być mieni, a czem jest wistocie.

Pan prezydent miasta z wielkiem uznaniem złożył publiczne podziękowanie osobom, które tak gorliwie i pożytecznie spełniły swoje zadanie przy spisie; a było ich do tysiąca, z którego połowę stanowiła młodzież uniwersytecka i szkół średnich.

Ona-to najliczniej i najgorliwiej spełniała obowiązki delegowanych i nie zawiodła położonego w niej zaufania, a teraz jeszcze jednym szlachetnym czynem zamierza upamiętnić swoją działalność. Oto istnieje projekt przeznaczenia przynależnej każdemu z młodych delegowanych dyety, w kwocie 3 rs. na jaki cel społeczny lub dobroczynny. Najwięcej widoków otrzymania tej ofiary mają Kassy Rzemieślnicze. Sumka zbierze się z tych drobnych datków wcale pokaźna, bo około półtora tysiąca rubli wynosząca. Dobrzeby było, aby jedna jej część przynajmniej zwiększyła fundusz na pomnik Mickiewicza; ze względu na ofiarodawców, datek taki stanowiłby pozycyją nader sympatyczną w ogólnej summie ofiar, streszczających poczucie obowiązku i czci dla pamięci wieszczą.

Z tym pomnikiem, niestety — idzie ciągle tak ospale, tak jakoś niemrawo i powoli, że złość bierze. Inni żywym już wnoszą posągi, a my zdobyć się na kamień pamięci dla największego z poetów naszych, tak dawno już zmarłego, nie możemy.

Wobec tego nie wiemy nawet, czy warto wspominać tu o poczciwej myśli, jaką nam listownie poddał jeden z korespondentów, p. A. Wolniewicz ze Żrenicy w Poznańskiem; ale ponieważ myśl dobra, powstała ze szlachetnego natchnienia, więc trzeba się z nią podzielić i poprzeć ją gorącym słowem, a może w szczęśliwszą chwilę

pojdzie w świat, między ludzi i nie przepadnie, jak inne.

„Podczas bytności mej w Karlsbadzie w 1880 r., pisze p. Wolniewicz, powziąłem zamiar założenia biblioteki rozmaitych przekładów dzieł A. Mickiewicza, a gdyby fundusze na to starczyły, i innych pisarzy polskich. Wiadomo, iż autor *Grzyby* mieszkał w Karlsbadzie, w domu „pod strzałą” (zum Pfeil) na „Neue Wiese”. Polacy na domu tym wmurowali pamiątkową tablicę z polskim napisem, a w przedsiönku ustawili szafę, sprawioną z funduszów składkowych, w której przechowyje się księga pamiątkowa, rodzaj albumu dla gości, zwiedzających to miejsce. Często miałem sposobność widzieć cudzoziemców, przechodzących obok domu „pod strzałą” i słyszeć, jak pociesznie krztusili się, odczytując niezrozumiały dla nich napis w obcym języku. Przyszło mi wówczas na myśl, że najlepszym komentarzem do owego napisu i nazwiska polskiego wieszczą byłyby jego dzieła tłómaczone i złożone w osobnej bibliotece, z którejby cudzoziemcy, przebywający chwilowo w Karlsbadzie, korzystać mogli. — i w ten sposób zapoznawać się z geniuszem poety, znanego im tylko z imienia. Burmistrz karlsbadzki na moję prośbę — zezwolił na umieszczenie takiego księgozbioru w Czytelnicy Kurhausu, zaś bibliotekarz miejscowy mógłby objąć nadzór nad nią. Opłata na wypożyczenie dzieł przypadłaby wszelako miastu, za udzielenie miejsca na bibliotekę. Na opiekuna jej możnaby uprosić którego z bawiących w Karlsbadzie lekarzy rodaków, na przykład Dra Hasewicza lub kogo innego. Chodzi tylko o książki, które zakupić-by musiała ofiarność publiczna, a ta — jak się spodziewać należy — przy poparciu ludzi dobrej woli, nie poskąpiłaby grosza na cel powyższy”.

Wnioskodawca sam robi początek i daje dobry przykład, składając kilkanaście przekładów dzieł Mickiewicza na język niemiecki. Bardzo łatwym i tanim sposobem dałby się projekt p. Wolniewi-



cza urzeczywistnić, gdyby każdy, posiadający w swoich zbiorach tłumaczenia pism Adama, zrobił z nich taki sam użytek. Najwięcej przysługi w tym względzie mogliby tej myśli oddać panowie księgarze, dla których ofiara jednego egzemplarza książki posiadanej na składzie nie byłaby uciążliwa.

Jesteśmy, niestety, w tem położeniu, że musimy sami popularyzować to, co mamy najdroższego i najlepszego, wśród innych. Nie dość, że posiadamy wielkich pisarzy i znakomite dzieła, ale trzeba je podsuwać niejako pod oczy cudzoziemcom, którzy nie przywykli sami szukać rzeczy polskich i zaznajamiać się z nimi. Ta ignorancja jest krzywdząca i bolesna, ale lepiej ją zwalczyć czemkolwiek bądź, aniżeli cierpieć z „wyższą pogardą“ jej dotkliwie skutki.

Obowiązek kronikarza-gaduły, każe nam przejść na widownią miejscowych wypadków, tworzących *Silva rerum* codziennego naszego życia. Odczyty i koncerty—to, obok sledzi, (*comparaison n'est pas raison*) najpopularniejsze rzeczy Wielkiego Postu; mamy ich też podostatkiem w roku bieżącym.

Słowo, co przemawia do duszy—i dźwięk, płynący do serca, są jedyną naszą rozrywką legalną w tym czasie pokuty za szal karnawałowy.

Chyba nie ulega wątpliwości: taka pokuta przyjemniejszą jest od grzechu.

Z dwóch katedr prelegentek: w sali Ratuszowej i w Resursie Kupieckiej, płynie co kilka dni na użytek i zbudowanie słuchaczy wymowny głos ludzi nauki lub talentu. O odczytach na Osady Rolne nie będziemy w tem miejscu szczegółowiej wspominać; stanowią one zawsze przedmiot nowego zajęcia i mają wyrobioną i ustaloną opinią. Charakter tych odczytów bywa przeważnie literacki; słucha się tu o poezji, filozofii, sztukach pięknych, odbiera się mniej lub więcej przyjemne wrażenie i wynosi użytek umysłowy.

Inną zupełnie cechę mają prelekcje młodych przyrodników w sali Resursy Kupieckiej; tam znów przedmiot naukowy, z natury swej mniej popularny i przystępny dla naszego ogółu, w formie, o ile możności, zwiezłej, zajmującej, ułatwiającej pojęcie i zrozumienie, bywa tematem odczytów, których jedną jeszcze ważną zaletą i wabikiem zarazem, są experimenta.

Publiczność lubi owe doświadczenia z dziedziny chemii i fizyki; zaciekawia ją instrument, zjawisko, i, tej prostej ulegając często ciekawości, nabiera ona potem smaku i zamiłowania do poważniejszych studyów, do samej teorii.

Bardzo szczęśny był pomysł tych popularno-naukowych wykładów, które corok tworzą niejako organiczną całość i zbiorowem siłami rozszerzają pewną grupę pojęć z zakresu nauk przyrodzonych. Bieżąca serya traktuje „o świetle“; inauguracja przypadła młodemu i zdolnemu przyrodnikowi, p. Boguskiemu, który główne zasady analizy spektralnej w dwóch zajmujących i obfitych w treść, a przytem prawdziwie przystępnych formą, wykładach rozwinął.

Pan Boguski utrwalił swą opinią dobrego prelegenta i zamiłowanego w swym zawodzie i nauce specjalisty.

Z przyjemnością zanotować tu musimy, iż na odczyty w Resursie Kupieckiej zbiera się liczny zastęp kobiet i młodzieży. Byłby to korzystny objaw żywszego zajęcia się tematami poważniejszymi i nachylania się ku potrzebom wykształcenia praktyczniejszego.

Wprawdzie p. Piotr Jaxa Bykowski w swojej szlacheckiej gawędzie o tem: „Czego jeszcze białogłowie naszej potrzeba“, utrzymuje, że może ona i powinna poprzestać na tem, co ma, bo ma dosyć i więcej niczego pragnąć nie może. Brakło tylko w tej konkluzji, ośpiewanej przy wszystkich harfach i gitarach, piosenki Heinego: *Du hast die schönsten Augen, mein Liebchen was willst du noch mehr?*...

Nasza *Liebchen*, o ślicznych oczach i koralowych usteczkach, mogłaby z westchnieniem wyliczyć jeszcze całą litanią potrzeb niezaspokojonych, a między innymi powiedzieć, że przydałoby się jej trochę więcej oświaty, trochę więcej rzeczywistych pojęć o świecie i wszystkim, co się na nim znajduje, trochę więcej poważniejszego materiału

w pięknej główce i głębszego gruntu dla myśli, wierzchem życia płynącej.

Nasza *Liebchen*, chowana często w pojęciach Heinowskiej piosenki, rośnie jak Boża lilia na barwnych łąk kobiercu i myśli tylko o tem: czy swoją krasą zaami przepych i majestat Salomona?... Ot, czego w takich liliowych główkach braknie i czego im potrzeba, nadałoby się do jednego odczytu, który mógłby być, i humoreską w części, jak odczyt p. Bykowskiego, i satyrą, jaką ten odczyt nie był.

Pan Jaxa Bykowski, znany powieściopisarz i opowiadacz o ludziach i czasach zeszłego wieku, — to stary bywalec; z ujmującą grzecznością wyszedł na mównicę, aby tłoczycym się w sali słuchaczkom powiedzieć komplement i podrażnić ich ambicją przypomnieniem takich sióstr w koronie, jak Jadwiga, Dąbrowka, Anna Jagiellonka, lub w wieńcu wawrzynowym, jak Drużbacka, Deotyma i Konopnicka.

Kobiety to lubią i na słodkie słówka idą, jak na lep; ale słodyczą samą żyć nie można i niezdrowo.

Wprawdzie powiedział prelegent bardzo trafnie, że u nas osobista zasługa torować sobie mogła kobieta drogę do najwyższych stanowisk w społeczeństwie, że uprawniał ją równo z mężczyzną wielki rozum, cnota, nauka, inteligencja, albo talent; ale to tylko wyjątkowo. Społeczne prawa i zasady nie urabiają się dla jednostek, ani się na nich nie opierają. Uprzywilejowanym przez autora, czy przez inne szczęśliwe warunki, białogłowom naszym, rzeczywiście niczego nie było potrzeba więcej; ale dziś epoka wyjątkowych niewiast minęła, dziś, nie o wyjątki, ale o ogół chodzi. Dzisiaj potrzeba, aby każda mogła być dobrą matką w rodzinie, dobrą obywatelką w społeczeństwie, a do tego wielu jeszcze warunków i danych nie braknie.

Tylko w tym kierunku rozumiemy potrzeby naszych kobiet, i o tym mówimy, bo innych, emancypacyjnych mrzonek, przygłuszonych zdrowym rozsądkiem uczciwych niewiast, nie chcemy i nie możemy w krótkiej wzmiance poruszać i rozbiierać.

Powracając do odczytów, winniśmy jeszcze wspomnieć o materialnych ich rezultatach. W poprzedniej Pogawędce wskazywaliśmy cele i potrzeby Towarzystwa Osad Rolnych, które przez zakładanie przytułków w rzemieślniczych dla nieletnich zdobyć chce sobie nową zasługę, ale nowy kłopot i wydatki bierze na swoje barki. Co się tyczy dochodu z odczytów popularno-naukowych, to, jak wiadomo, przeznaczony on jest na cel bardzo poważny i zaszczyt przynoszący komitetowi, zajmującemu się prelekcjami tego rodzaju. To, na co łożą zagranicą całe instytucje i stowarzyszenia, u nas zdobywa się pracą i zachodem kilku energicznych i pracowitych jednostek; mówimy o wydawnictwie *Pamiętnika fiziograficznego*. Wydawnictwo to poważne, szlachetną myślą natchnione, wypiastowane miłością kraju i nauki, a utrzymywane jakimś cudem dowcipnego pomysłu. Zebrała garstka młodych uczonych dała pracę i owoc nowych badań w formie prelekcji, publiczność daje pieniądze: i w ten sposób powstał zbiorowy nakładca i wydawca poważnego dzieła, które nam zaszczyt przynosi, i treściwą swą, i historią swego istnienia. Bez hałasu, reklamy, poszukiwań, namowy i nawoływania *Pamiętnik fiziograficzny* powstał, i da Bóg, powstawać będzie, dalej w tensam praktyczny sposób, a zasługą ludzi cichych i poświęconych.

Samo dzieło jest dla nich nagrodą, a poczucie spełnienia obowiązku, graniczącego z ofiarą — tą siłą i zachętą, która hartuje wytrwałość w trudnych przedsięwzięciach.

Drugie chlubne wydawnictwo w podobnym rodzaju zawdzięczamy p. S. Dicksteinowi, redaktorowi i wydawcy *Rocznika pedagogicznego*. Poraz pierwszy pojawia się u nas publikacja w takim charakterze i zakresie, traktująca o jednej z podstawowych spraw naszego społeczeństwa, bo o sprawie wychowania. Rocznik ten, złożony z czterech działów, obejmuje szereg artykułów rozumowanych, sprawozdawczych, krytycznych i informacyjnych; złożyły się na niego prace naszych najlepszych pisarzy, w właściwym zakresie, a gdy się uwzględni, że to dopiero zawizek wydawnictwa i

początek, który zawsze bywa najtrudniejszym, gdy się porówna *Rocznik* z głośniejszymi dziś wydawnictwami tego rodzaju zagranicą, to mimowoli chce się z całej duszy przyklasnąć sobie i redakcyi na chlubę i uznanie. Mamy bowiem znowu jedno dzieło więcej, które świadczy o naszym rozwoju umysłowym i postępie.

Jako zajmujący szczegół pozwalamy sobie przytoczyć z *Rocznika* wiadomość statystyczną, iż w szkołach elementarnych rządowych uczyło się w Królestwie Polskiem w 1880 roku uczniów 142.114.

Nasza prasa peryodyczna rozwija się powoli, ale bezustannie. Oto z Nowym Rokiem przybył nam nowy towarzysz, który będzie spisywał nam cały drukowany inwentarz: w zeszytach miesięcznych podawał „Wiadomości bibliograficzne“ warszawskie. Redaktor, p. Teodor Paprocki, zrozumiał dobrze potrzebę i użyteczność takiego pisma, któreby przygotowywało poważny i dokładny materiał do studyów nad literaturą, nad jej rozwojem u nas, a jednocześnie dawało łatwy skorowidz do zorientowania się wśród lasu wydawnictw polskich. *Wiadomości* zaprowadziły też ważną rubrykę, pomijanych dotąd niesłusznie artykułów dziennikarskich, które ginęły bez śladu w stosach zadrukowanej bibuły. Kto musiał wertować zapylone roczniki starych pism, szukając jakiej wzmianki lub szczegółu drukowanego, ten zrozumie i wdzięcznie oceni przysługę, jaką przyszylnym badaczom oddawać mogą *Wiadomości bibliograficzne*, przez takie skrupetne zapisywanie rzeczy uwagi godnych.

Od pierwszego Kwietnia wychodził znowu nowy tygodnik popularny, poświęcony naukom przyrodniczym dla szerszego koła czytelników pod tyt.: *Wszelkowi*. Tygodnik zamieszczać będzie monografie i rozprawy naukowe w formie przystępnej, opis wypraw i wycieczek naukowych, życiorysy i korespondencje z ognisk postępu nauk przyrodniczych, wreszcie kronikę naukową. Charakter pisma będzie głównie miejscowy.

Jako wydawcę prospekt wymienia p. Eugeniusza Dziewulskiego, a jako redaktora p. Br. Znatowicza; oba nazwiska dają bardzo dobrą i poważną rękojmią wartości i starannej redakcyi pisma, nad którym kierunek naukowy objął komitet redakcyjny, złożony z p. p.: prof. T. Chałubińskiego, D. ra L. Dudrewicza, mag. St. Kramsztyka, mag. A. Ślósarskiego, mag. J. Stwikowskiego, prof. J. Trejdosiewicza i prof. A. Wrześniowskiego.

W sferach naszej sztuki świetne obiecanki rozbudzają łakomych pięknych wrażeń melomanów i wielbicieli teatru; cały szereg głośnych nazwisk, jak: Rubinstein, Menter, Sarassate, Salvini i t. d. pojawia się w ogłoszeniach i zapowiedziach artystycznych na dokończenie Postu. Powódz koncertów rozpoczyna się tedy, a po występach Modrzejewskiej opera odbierze znów berło dramatowi na scenie Teatru Wielkiego.

Trupa Włoska, oby nie ze zwykłym deficytem, zagnieździć się ma od 18 b. m. w naszym teatrze; po niej znów znakomity tragik włoski, rywal Rossiego — Tomasso Salvini przywiezie swoje trupe, z którą grać będzie na polskich nerwach. Będziemy tedy wydani na łup Włochom aż do lata, a tymczasem nasze miejscowe siły będą szukały środków zabicia czasu i użycia wczasu.

\* \* \*

Dnia 3 Marca r. b. pożegnał Warszawę p. Stefan Szolc-Rogozński, twórca projektu wyprawy podrównikowej do Afryki Zachodniej.

Zamiłowany do podróży i odkryć, z całym zapalem kwitnącej młodości, ale i z pełną świadomością trudów i niebezpieczeństw, pan Rogozński w odczycie publicznym w Sali Ratuszowej uchylił zasłonę z pobrzeży tej tajemniczej krainy, którą właśnie dla wiedzy geograficznej zdobyć postanowił. Leży ona pomiędzy łożyskami rzek Ogowe i Kongo, a lewemi przyplływami Nigru, ponad Równikiem.

Dotarcie do mytycznych dziś jeszcze jezior rzeki Libo, zaledwie tylko przy ujściu oznaczyć się dającej; poznanie Kalabaru, przedarcie się przez Góry Kameruńskie i Rumbijskie, zbadanie wodo-



działu Kongo, Nigru i Nilu — jednym słowem wprowadzenie pomienionej krainy do topografii, fizjografii i etnografii Afryki: oto cel wyprawy; nie potrzeba mówić, że cel szlachetny, przynoszący zaszczyt tak wczesnej jeszcze, tak porannej młodości tego, który go sobie wytknął. Czy rzeczywistość osiągnąć go pozwoli? *In magnis et voluisse sat, a bez żadnego zgoła pożytku wyprawa obecna dla nauki pozostać nie może, jeżeli tylko słońce afrykańskie rozwinąć się jej pozwoli.*

Podróżnicy mają zwiedzić tę część ładu Afryki, na którym nigdy jeszcze stopa człowieka cywilizowanego nie powstała. Co za rozkosz dla tego, kto pierwszy w ten kymeryjski mrok się wędruje; co za przyjemność dla każdego Polaka, jeśli tym pierwszym szczęśliwym będzie właśnie Polak i polskie tam nazwy po sobie zostawi!

Oprócz p. Rogozińskiego, w podróży uczestniczy kilku jeszcze rodaków naszych, a pomiędzy nimi i p. Leopold Janikowski z Sieradza.

Plan, a raczej zamierzenie ogólne wyprawy, podał *Wędrowiec* z r. b. w Nr 993.

Okręt „Lucya Małgorzata“, dar Króla Belgijskiego, czeka już na podróżników w porcie. Za chwilę p. Rogoziński zbierze swą garstkę, pożegna rodzinę i ziemię rodzinną i z błogosławieństwem najbliższych swoich, a z dobrymi życzeniami najdalszych nawet, puści się ku nieznanym krainom.

Na drogę niech i od nas przyjmie gorące słowo, należne tak poważnemu celowi; zachętę do wytrwania w trudach i niebezpieczeństwach; wreszcie uznanie, zarówno ofiar już poniesionych, jak i szlachetnej gotowości do poniesienia dalszych — nawet z własnego życia.

Miejmy jednak nadzieję, że p. Rogoziński wróci do nas zdrów i cały i z plennem dla nauki ziarnem.

## NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Tak tedy, mocno upokorzony, całując ciągle w rękaw gwardyana, który ani słowa nie mówił, ale się przebłagać nie dawał, Wolski musiał wracać, jak niepyszny, obiecując sobie, na pociechę, wykropić Łobodę, co się zowie.

Lecz donosiciel, ujrawszy go w furcie wychodzącego, z głową zwieszoną, nie czekając nagrody, drapnął i zniknął.

Gdy się to zewnątrz działo, Damazy siedział na wyzkach w tejsamej masztarni, tę tylko zachowawszy ostrożność na wszelki wypadek, iż dachówki wybrał w jednym miejscu, otwór sobie na zewnątrz przygotował i mógł się nim spuścić na zewnątrz murów klasztornych. Gdy Wolski wyszedł i furta się za nim zamknęła, Butrym najspokojniej do masztarni powrócił i w miejscu parobka, który śmiał się, rękawem twarz ocierając — spać się położył.

Brat Anioł, starowina, uśmiechał się także i powtarzał w duchu:

— Teraz on tu już bezpieczny, drugi raz przyjsz się nie waży!

Ojciec Remigi, chociaż skargą zagroził, był pewien, że go nazajutrz błagać będą o przebaczenie, i gotował się je dać wraz z ostrą naganą, co to jest nieposzanowanie schronienia sług bożych. Niechęć wchodził w konflikt z sumieniem, ojciec Remigi nie zapytał nawet furtyana: czy Damazy się w klasztorze znajdował? nie uczynił mu żadnej wymówki i do celi powrócił.

Gdy Wolski zaszedł nareszcie, umęczony, do swojego mieszkania, w prawym skrzydle zamkowym, nieopodal od podłowczego, był tak zły, iż do krwi sobie pogryzał paznogie. Wostatnich cza-

sach tak mu się nie powodziło, że gotów był dopełnić jakieś szaleństwo, aby wyjść z tego koła wysiłków nadaremnych. Książę nawet nie był dla niego takim, jak dawniej; panna Faustyna go odpychała z pogardą, Butrym podłowczy niemal się z niego natrzęsał, Damazy zaś zdawał się go swem zachwalstwem wyzywać! Narażał się na pośmiewisko u ludzi.

Powagę swą i ufność dawną, jaką miał u księcia, potrzebował czemś podtrzymać. — Nie wiodło mu się.

Wszechmocny ten faworyt, bez którego chorąży obejść się nie mógł, bo to był jedyny człowiek, *anima damnata*, który nigdy w niczem się na rozkaz nie zaważał i nie sprzeciwił — mieścił się w dwóch ubogich i brudnych izdebkach. Czynił to umyślnie; zazdrości obudzać nie chciał, okazując zamożność, chociaż wiedziano, że znaczne już miał pieniądze. Chciwy, mieniał, co zebrał, na złoto, i w garnku, pod podłogą ceglana, umyślnie na ten cel urządzoną — chował. Niósł się, pomimo skąpstwa, czysto i nawet dosyć elegancko, bo, przystojnym będąc, do kobiet miał pociąg wielki, ale to był jedyny zbytek, jakiego sobie pozwalał. Zresztą, mieszkanie jego podobniejsze było do składu jakiegoś rupieci, niż do porządnego ludzkiego schronienia. Nie pozwalał Wolski, aby mu tu sługa porządkował, bo nie chciał, aby wiedział, co po kątach chowa. Kosztowne podarki, których otrzymywał wiele, rzędziki na konie, siodła, sztuki płótna, sukna i t. p., ponakrywane były starą odzieżą. Izby się wydawały niechlujne i ubogie. Wytrwały na chłód, na głód, mało kiedy palił u siebie kazał, a żywił się nie w domu.

Wróciwszy z nieszczęśliwej wyprawy, nie zajął nigdzie dnia tego, choć miał zwyczaj i nocami podglądać, gdzie się świeciło a podłuchać, drgnął tylko gniewem, zobaczywszy, iż u podłowczego ogień się palił, zamknął się na rygiel i spać się położył.

Naprzeciwno właśnie miał okna Zaborskiej. Tu najczęściej o tej porze ciemno już bywało, ale tego dnia okna wszystkie świeciły się bardzo jasno. Wolski wiedział: co to znaczyć miało.

Gdy się wszyscy porozchodzili, bardzo często książę chorąży, kurrytarzami wewnętrzny, z jednym powiernikiem, hajdukami Sawerym, wprzódy oznajmiwszy o sobie, przychodził do Zaborskich i tam, w towarzystwie przymusowem panny Faustyny, przesiadywał jaką godzinę, baraszkując.

Na tych rozmowach i przypatrywaniu się dziewczęciu, głośkaniu pod brodę i przysuwaniu się do niej, chwytaniu za białe rączki, które książę cmoktał z wielkim apetytem — kończyły się amory chorążego. Nie posuwał się dalej, powiadając, że Faustysia się przyswoi i pokocha go.

Obiecywał jej, że ją każe w złoto oprawić. Tymczasem zaś srodze ją nudził i obrzydzenie jej sprawiał. Pomimo charakteru gwałtownego, chorąży miał w tej miłości, platonicznej jakiejś, pełnej attencyi i delikatności, upodobanie dziwaczne, do uwierzenia trudne — lecz... rzeczywiste. Chorował na sielanekę, on, który był do tragedji stworzonym. Rozkoszował się jakimś uczuciem idealnym, które go czasem miało doprowadzić do szczytu szczęśliwości.

Śmieszne to było, nieprawdopodobne, i mało ludzi wiedziało, jak się książę ze swą niewolnicą obchodził. Wyobrażano sobie zupełnie co innego. Zaborska radaby była zbliżyć więcej księcia chorążego do córki, bo lękała się kaprysu i odtrącenia, lecz książę sam umyślnie odwlekał swą szczęśliwość, a Faustyna też trzymała księcia, oile mogła, najdalej od siebie.

Wolski niejedną raz scen tych romansowych podedrzwiami był świadkiem, wiedział lepiej niż inni, jak książę był ze swą — perelką, ale — pomimo to zazdrośnym był okrutnie, bo się w niej poswojemu kochał namiętnie.

Okna oświecone u Zaborskiej krew mu i teraz wzburzyły. Wpatrzył się w nie z gniewem, i nie mógł wytrwać. Chociaż położył się już spać, zerwał się znowu, odział naprędce i, pod pozorem dozoruwania, które mu dozwoleń, a nawet nakazaniem, było, pobiegł pod mieszkanie Zaborskiej. Tu hajduk Sawery stał na straży; Wolski mu coś szepnął i odprawił go na wschody. Sam, z sercem

bijącym, przysiadł u drzwi, tak, aby przez otwór od klucza mógł coś zobaczyć — a przez drzwi podłuchać łatwo było.

Książę chorąży w dostatniej sukni jedwabnej, sobolami podbitej, siedział wygodnie przed stołem na krzesle, które dla niego było umyślnie tam przysposobione.

Na stoliku paliły się dwie grube świece woskowe, obie zielonemi parawanikami od strony księcia przysłonięte. Wprost księcia, na kanapie, wyprostowana, nieszczęśliwa ofiara tych pańskich zalotów — siedziała z oczyma spuszczone, z twarzą zaognioną, z rękami na kolanach. Przymuszona przez matkę stroić się w takich razach, była ufryzowana, wyfiokowana, do gorsu, w sukni jedwabnej połyskującej, w bogatym kanaku złotym na szyi, a od uszu dwie gruszki perłowe, zwieszane wśród pukli włosów na białe popiersie spadających — świeciły.

Było coś niemal przerażającego w wyrazie twarzy tej postaci, tak wystrojonej a tak smutnej, jakby do trumny. Dziewczę nie śmiało prawie oczu podnieść, aby nie spotkać wzroku starego satyra, pożerającego ją zakrwawionemi żrenicami.

Straszną też sprzeczność stanowiła ta zboląła twarzyczka, obok rozpromienionej, rozplamionej, uśmiechniętej — w jakimś zachwycie i zapomnieniu, dziko rozweselonej twarzy księcia chorążego.

Długa ta, rozlana, nabrzmiała fizys — w której już najmniejszego odblasku młodości nie było — zwykle surowa i nachmurzona, miała w sobie coś nienaturalnego. Nie przystał jej ten zachwyt, który się na niej malował. Zdawało się, że co chwila ta pogoda złowroga zmieni się we wściekłą burzę.

Tymczasem jednak książę się lubował tym cudnym obrazkiem, jaki miał przed sobą. Silnie oświecony, pełen świeżości ten wizerunek kobiety, był wistocie tak pięknym, że się nań patrząc, zapomnieć było można.

— Perelko ty moja! — cedził przez zęby popruchniałe chorąży — ty śliczności jakiej! Królowo piękności! Afrodyto, mości panie... podnieś-że oczęta! ulituj się, kochanie! perelko ty moja!

Na ten szept miłośny głuche odpowiadało milczenie; czasem tylko od dreszczu, który ją przebiegał, zaszleściła sukienka.

Starej Zaborskiej, jak zwykle, nie było w bawialnym pokoju. Zaledwie przyjąwszy księcia w progu i przyprowadziwszy córkę, stara, co najprędzej wynosiła się do drugiego pokoju i cichutkenko siadała podedrzwiemi. Zjawiała się tylko naówczas, gdy chorąży, czasem nieposłuszeństwem i nieczułością Faustysi znudzony, sam ją na pomoc zawałał.

Zaborska przychodziła i gwałtem wyrwała, opierającej się córce rękę, aby ją podać księciu. Zdarzało się to rzadko jednak, bo książę chciał Faustynę zniewolić sam, bez pomocy i przymusu, i zmagał się na jaknajśrodsze słówka. Dnia tego Faustysia była posepniejszą niż kiedykolwiek i bardziej zniecierpliwioną. Lecz w tej pierwszej chwili chorąży był tak samym widokiem jej przejęty, tak się nim napawał, że się jeszcze nie miał czasu nadąsać.

— Perelko ty moja! — powtarzał — coś tak dziś nasepiona? Co? mów? śliczności ty moja, może ci czego brak. Rozstąpi się ziemia, a ty będziesz miała, czego twa duszyczka zapagnie — perelko ty moja!

No, co tobie takiego! Otwarcie mów, ja ci jestem oddany, jakom nigdy żadnej niewieście nie był. A potrzeba ci wiedzieć, perelko ty moja, żem wiele ich widział — perelko ty moja. Samych żon miałem dwie a ta trzecia; pierwsza była Sapięzanka — piękności! ale tobie nierówna, sifkowała potem z miłości dla Mokronowskiego, który jej nie chciał. — He? tak jak ty mnie, he? — Ale to z czasem przyjsz musi.

Patrzył i patrzył chorąży i wdychał. — Nudno tobie tu? he?

Nie było odpowiedzi. Nagle, Faustysia, jakby coś ją ubodło, oczy śliczne podniosła, wlepiła je w księcia — chwileczkę; ale dosyć było przelotnej tej chwili, aby go niemal do szaleństwa poruszyła. Chciał się dźwignąć z krzesła, lecz nogi, nieprzy-



## PRZEGLĄD TEATRALNY.

gotowane zawczasu do nagłej posługi — odmówiły jej.

— Nudno perełce? — odezwał się książę, ręce ogromne podnosząc i składając ponad stołem.

Faustynka spojrziała raz drugi.

— Pewno, że nudno — rzekła głosem harmonijnym, który w uchu starego brzmiał jak jakaś muzyka; pewnie, że nudno, nie dlatego, że sama, ale że tu tacy ludzie nachodzą z zalecaniem się.

Choraży aż padł na poręcz.

— Co mówisz! ludzie nachodzą! jacy ludzie?

Za drzwiami zaszeleściła suknia matki.

— A tak. tak — mości książę — poczęła mówić Faustyna. — Książę na nie bardzo wierne sługi. Ten Wolski to mi spokoju nie daje.

Oniemiał choraży; chwila milczenia nastąpiła. W gardle mu zaschło, schryplym głosem, po chwili, zapytał:

— Ale czyżby on śmiał? może-ż to być?

— O! i bardzo i bardzo — dodała Faustyna. — Ja nigdy nie kłamie; niech książę wierzy.

— A to go na szubienicę — zdrajcę tego! — krzyknął choraży — to go koźmi rozszarpać na rozstajnych drogach, tego nicponia, który na mój skarb jedyny śmie godzić.

Wtem, przypomniawszy sobie matkę Faustynę, zakrzyknął choraży:

— Zaborska!

Z drugiego pokoju wpadła blada i pomieszana jejmość, naprzód oczyma gniewnymi córkę zmierzyszy.

— Co ona mówi? co? — zapytał choraży — zgroza! zdrada!

Zaborska figlarny uśmiech przybrała i ramionami poruszyła.

— Co jej słuchać! tego dziecka — poczęła lekceważąco. — Książę ją zna, że ona taka trusia, taka skromnista, iż na nią byle kto spojrział, zbliżył się, to się krwią oblewa. Więc, co ma być? Wolski przyjdzie, ukłoni się, zagada słodko, boć grzeszny dla niej musi być: a ta się zaraz zachę. Ona, proszę księcia, tak młodych nie cierpi, że na żadnego z nich patrzeć nie może.

Co Wolskiemu by miało być w głowie!

Faustynka wbrew matce kłamstwa zadać nie chciała, spuściła oczy i zamilkła; lecz, poczekawszy trochę, ukradkiem podniosła żrenice, spojrziała na księcia, który drgnął, i głową mu dała znak potwierdzający, co pierwej mówiła.

Zamyslił się choraży dziwnie.

Zaborska, czując się niepotrzebną tu, już odchodzić chciała, gdy książę dał jej znak. Zażądał, pomimo, że mu to niewygodnym było, przysiąść się bliżej na kanapie, obok Faustyni. Zaborska w takim razie obowiązana była podać mu rękę i przeprowadzić go. Dziewczę ruszyło się już, jakby chciało uciekać, ale matka tupnęła nogą.

— Siedź! — zawołała gniewnie, stłumionym głosem, bo, jak Boga kocham!....

Z trudnością przesunął się choraży, o stół podpierając, a z drugiej strony mając Zaborską, do kanapy, na którą padł, zasapany, zmęczony zmianą miejsca. Potrzebował jakiegoś czasu, aby odsapnąć po tym wysiłku. Potem dopiero wyciągnął niedźwiedzią swą łapę, szukając białej rączki, która się w fałdy sukni schowała.

Zaborska nadbiegła usłużna, i, wydobywszy rękę córki, gwałtem ją księciu podała. Wyrwał jej już nie mogła Faustynia, bo starzec, choć chory, miał jeszcze w rękach siłę olbrzymią.

Chełwie, poniósł do ust wyrwijające mu się paluszki i całować je zaczął głośno. — Mrucał przytem.

— Śliczności ty jakies! jedwabie wy moje! atłas! alabastry! wonie rajskie! perełko.

I rozczulonemi patrzył na nią oczyma. Dziewczęciu się i na łzy i na śmiech razem zbierało.

Starzec drżał cały przejęty, twarz mu krwią nabiegała, piersi coraz ciężiej oddychały.

Zaborska zwolna, cichemi krokami, ciągle dając znaki groźne córce, poczęła się usuwać do swego pokoju, gdy książę rękę trzymaną puścił, za czoło się pochwycił i padł na poręcz kanapy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dr Klaus, komedia w 5 aktach, *L'Arronge'a*; tłómaczył z niemieckiego Teodor Hertz. — *Niby-mażeństwa*, komedia w 4-ach aktach, wierszem, Edwarda Paillerona; z francuzkiego przełożył J. K. — *Honor domu*, dramat w 5 aktach pp. Battu i Desvignes; przekład z francuzkiego. — *Nora*, dramat w 3 aktach, Yb sena; przekład z szwedzkiego. — Role p. Modrzejowskiej w dwóch ostatnich sztukach.

Wesoła krotchwila *L'Arronge'a*, wziętego komedyopisarza austro-niemieckiego, zasługiwała na to, aby jej pozwolono i naszą ubawić publiczność. Jest ona przedewszystkiem czystą, jest szczerze w swym humorze naiwną, w swych wydarzeniach prawdopodobną, w całym przebiegu swoim żywą i zręczną. Komedią nazwać jej nie można, choć ją nawet na krótką chwilę aktu III melodramat zasępiła, nie jest ona nawet w swoim, krotchwilnym, rodzaju doskonałą, bo przekracza szranki prawdopodobieństwa, np. gdy *Dr Klaus* każe wdziawać żonie i córce rękawiczki stangreta, lub, gdy, zeszedłszy córkę swoją na tańcu ze staugretem, nie znajduje dla niej żadnej reprimandy; ale jest utworem pożądanym dla każdej sceny komicznej i na każdej prawo obywatelstwa wyrobić sobie zdoła. Wszyscy jej ludzie należą szczerze do sfery mieszczańskiej i całą zabawną tej sfery zjawiskowość przed oczyma widza roztaczają. Sam *Dr Klaus* jest rodzajem Jowisza in-duodecimo: prawy, rozsądny, trzeźwy, praktyką swoją zajęty, na wielkie zadania życia swej rodziny patrzy, jak na burze w szklance wody, ze spokojem, ale zarażem i z miłością prawdy i odwagą, wypowiadania jej nie we własnym tylko interesie. Oryginalnie również, w silnem zosobieniu, występuje obok *Dra Klause* jego stangret Ragoczy, rodzaj samozwanczego majordoma, wielkością wożenia takiego dostojnika upojony, a przez długi pobyt w domu, gdzie go wszyscy oszczędzają, rozczuchwalony aż do przybierania na siebie charakteru lekarza. Stara Maryanna, przywiązana do państwa swoich, zrzęda, z komicznym wychwalaniem swej cnoty — jest wcale szczęsnym pomysłem. Inne postaci nie mają w sobie wybitnej charakterystyki: bo i takie naiwne dziewczątka, wypytujące się stangretów o istotę miłości, jak Kamilla, i tacy młodzieńszkowie, jak p. Gustaw Gerstel, i takie pędziwiatry z tytułem baronowskim, jak p. von Boden, i wzbogaceni mieszczenie, jak złotnik Grisinger — do osobliwości nie należą; popospolitą jednak tych postaci jako typów, nie odejmuje im wartości jako charakterom: te umiał im zdolny komedyopisarz nadać, dzięki zarówno umiejętności pisarskiej, jak i dobremu patrzeniu w życie. Niezaprzeczoną zaletą sztuki jest to, że się na niej czystym śmiechem uśmieć można.

W samej architektonice *Dra Klause'a* wytknąć potrzeba niedostateczne rozwinięcie głównego w sztuce dramatycznego stosunku: pomiędzy polującym na pieniądze Grisingera panem von Boden a córką piątego mieszczanina Julią, z którą zawarty związek małżeński ma właśnie przeprowadzić pieniądze papy do kieszeni zięcia — i jego wierzyteli. W komedii zaniedbanie takie byłoby bezwarunkowo nagannem; w krotchwilu można je wybaczyć: a tu przebaczenie jest tem łatwiejszem, że autor za to, czego nie zrobił, wynagradza nas zajmującymi widokami, zdjętymi z *Dra Klause'a* i jego rodziny.

Rolę tytułową odegrał p. Waliszewski, odegrał w tonie i pojęciu jej właściwym, jednolicie, ujmująco, żywo. Opowiadanie w akcie III-im, z silnym żywiołem lirycznym, nie wyszło z właściwych korbów: nie było zanadto, jak na krotchwilę, roztkliwiającem. Tacy czerstwi i trzeźwi, jak *Dr Klaus*, mogą niekiedy bezwiednie charakterami i życiem swoim innych aż do miękkości rozczulać: sami spłacają dostatecznie już dług nieuchronnej w życiu sercowości, gdy odczuwają samą istotę boleści lub rozkoszy ludzkiej. Ludzie tacy nie uplastyczniają w sobie wrażeń swoich, w sposób pobudzający czułość, nie wchodzą na tę drabinę, która się ostatecznie łzami kończyć musi: ich uczucia są tylko punktami, nie liniami, jak u zwykle czujących śmiertelników; ale te punkta

nierz większą od linii mają trwałość. Jednym z takich ludzi jest *Dr Klaus*: dlatego im więcej chłodu zapanuje w jego opowiadaniu, tem lepiej będzie dla prawdy.

P. Rapacka, jako Kamilla, była zanadto sztywną; umysłna, sztuczna gwałtowność ruchów wskazuje, że role naiwne, jaką jest właśnie rola w *Drze Klause*, nie dają młodej artystce właściwego jeszcze pola. P. Galasiewicz mógł okazać więcej sprytu a mniej gburowatości i nadętej powagi. Maxymilianowi von Baden p. Grubińskiego brakło życia. P. Micińska szczerze rozśmieszała. P. Wolski nie sprzeniewierzył się woli autora, ale potrzebuje rolę swą jeszcze wykończyć. Grisingerem był p. Sikorski, jego córka — pani Lebrun. Drową Klaus — pani Borkowska.

Obie świeżo przedstawione sztuki francuzkie wychodzą ze wspólnego założenia: upadku kobiety. W obu sztukach upadek dokonywa się przed epoką dramatu, a dramat rozwija tylko jego następstwa w danych kręgach społecznych i danych stosunkach rodzinnych. Pailleron wziął za bohaterkę dziewczynę z ulicy, która przez czystą miłość, a raczej miłosną litość, bardzo szlachetnego młodzieńca z wyższego świata zrywa z przeszłością, przyszłość lepszą za niedościgłe marzenie uważa i pragnie tylko z owej miłości, którą prawdziwie jak perłę na ulicy znalazła, mieć wiekiuste, nigdy nie kończące się dziś. Ale matka Pawła (p. Ładnowski) pani Armand (p. Rakiewiczowa), nie pozwala Esterze (panna Marcello) na takie przykuwanie serca synowskiego; zamierzyła właśnie ożenić go ze swoją siostrzenicą Aliną (p. Winiowska) i musi go od owej dziewczyny oderwać. Schodzi ją w jej cichem mieszkanku i rzuca jej w twarz tę rzecz okropną, nad którą kobieta okropniejszej w życiu usłyszeć nie może. Zjawia się jednak syn; w ogniu jego uczucia topnieją lody macierzyńskiej wzgardy: pani Armand zabiera Esterę do siebie — na próbę. Sroga to próba, i dla niej, i dla Pawła, i dla Aliny. Estera z rozpaczą przekonywa się, że nigdy nie zyska szacunku tej, którą ukochany jej za przyszłą jej matkę już uważa; obie zaś młode kobiety, wzajemnie poznawszy stanowiska serc swoich wobec Pawła, obie zarówno szlachetne, wzajemnie je sobie odstępują. Estera ucieka, wraca do siebie: tu jednak wszyscy śpieszą za nią. Pani Armand gotowaby już uznać to nieszczęsnę, gwałtowne uczucie, aby jej tylko syna nie pożarło, ale nawrócona dziewczyna — nie daje się już zamknąć w pudełku tej, i moralnością, i honorem społecznym, wyższej sfery, do której Paweł pragnął ją wprowadzić. On sam w boleści poznaje, że są pewne konieczności, których żadna rozumna wola nie rozbije. Ostatecznie: przecięcie węzła odwlekło się tylko, ale ten węzeł przeciętym być musiał. Do takiego rozwiązania przyczynił się i mąż p. Armand, pan Ernest (Królikowski), który ją przed kilkunastu laty był porzucił, a podczas dramatu odnalazł się o ścianę tylko od Estery. Paweł w tym nielubianym sąsiedzie poznaje własnego ojca.

Pailleron, układając z przyciżem zarysowanych swój dramat, dla zwyczaju tylko nazwany „komedią”, nie stawiał bynajmniej żadnego tematu tendencyjnego; nie dążył do zmiany praw w zakresie czci kobiety i życia rodzinnego społeczeństwem rządzących; nie przeciwstawił tego, co być powinno, temu, co jest; wskazał tylko prawdziwie tragiczne fatum ciężące nad każdą potężną a z prawami życia nieliczącą się namiętnością. Utwór jego, taki, jaki się ukształtował, jest w stosunku do głównego pomysłu niedoskonałym: tragedya być powinien nie takim za komedią podanym dramatem z życia paryzkiego. W *Niby-mażeństwach* jest tyle piękności, że bardzo mało potrzeba było zmienić, wsunąć lub dodać, aby mieć jedną z najbardziej wzruszających tragedij nowożytnych. O modnej tendencyjności sztuki mówić nawet nie można: gdyby poecie nie chodziło o to, aby pozostać poetą, a nie sięgać po prędko wędrujące laury socjologii Dumasa i jego naśladowców w dramaturgii, byłby niezawodnie znalazł dla siebie bohaterkę poza obrębem tego bagna, w którym grzęzła Estera przed poznaniem Pawła: jakąś biedną, uczciwą, niegłupią dziewczynę. Walka z taką istotą mogła już być wystawiona jako dzieło przesądu.



Pochwalić trzeba przekład, którego twórca ukrył się skromnie pod literami J. K. Takie przekłady nadają już tytuły literackie; nie jest się prostym tylko robotnikiem, gdy się wiersze odlewać umie tak, jak je tłómacz odlewa.

Estera potrzebuje dla siebie lepszej niż p. Marcello artystki. Pani Rakiewiczowa grała bardzo dobrze. Królikowski był zanadto kaznodziejskim, p. Ładnowski zrozumiał Pawła. P. Waliszewski powinien się wystrzeżać trywialności; ksiądz w *Nie trzeba igrać z miłością*, nie jest księdzem z *Niby-małżeństwem*. P. Tatariewiczowi należy się uznanie za rolę Jerzego. Pani Borkowska była zanadto powolną.

*Honoru domu* moglibyśmy bezpiecznie nie widzieć, pomimo to, iż główną rolę odegrała w nim p. Modrzejowska, a tej roli znowu autorowie lwia część dali z całości. Takie stawianie dzieci wobec matki, męża wobec żony, takie torturowanie kobiety, jakiego się tu p. p. Battu i Desvignes dopuścili, jest czynem, którego prawo przez zapomnienie chyba tylko nie karze. Prawda, że autorowie, prowadząc wszystkich po wyprężonej linie, umieli nadać cierpieniom głównych postaci pewien estetyczny urok; ale naczelnym wypadek w dramacie, zetknięcie dawnego uwodziciela z rodzonym synem, jest czemś psychologicznie tak bladym i płytkim, a przytem tak widocznie *zrobionem* dla zaostrenia akcji, że niema żadnej artystycznej wartości. Autorowie, pozbawieni rzeczywistego talentu dramatycznego, przeciwstawnością samych stosunków zastąpili przeciwstawność charakterów: jedyną, która w gruncie rzetelnej dramatyczności rosnąć ma prawo i siłę. Osnowy przygód roztaczać tu nie będziemy: właściwsze dla niej miejsce w kronikach kryminalnych.

P. Modrzejowska ukazała znowu piękny swój talent w akcie III, w rozmowach z mężem i z synem; jednostajność wszakże nastroju, przy braku wszelkiej oryginalności w charakterze, przy wyblakłym kolorycie całej postaci, rolę margr. de Chennevières za niewdzięczną i niewłaściwie obraną uważać każe. P. Królikowski, oile mu autorowie pozwolili przemawiać do widza prawdą i siłą w odtworzeniu postaci nieszcześliwego męża, któremu przez piętnaście lat sęp codzienne serce szarpie. P. Rapacki w charakterystycznej roli Beauséanta, tchórze i pieczeniarsko-pochlebcy, wywiązał się z zadania swego dobrze. P. Prażmowski zrozumiał i w ogóle pomysłnie oddał rolę Pawła; nie tak, jak p. Leszczyński, który zepsuł rolę Jerzego de Maubreuil i nawet dobrze jej się nie wyuczył, a w razie niemilosierdzie przekreślał.

*Honoru domu* jest ekliwym tańcem wśród mieczów; innego zupełnie rodzaju sztukę obrała p. Modrzejowska na swój benefis w dniu 10 Marca r. b. *Norę*, 3-aktowy dramat szwedzkiego poety, uważać możemy w dwóch pierwszych aktach za najdelikatniej rzeźbiony, najoryginalniej pod artystycznym względem zbudowany, najgłębiej psychologiczny utwór ze wszystkich, jakich nowa literatura europejska dostarczyła scenie naszej. W akcie III natchnienie opuściło poetę, pomysł zwichnął się i obłąkał na manowcach, rozwiązanie podjęło kwestyją, która nie występowała wcale w sztuce i rozcięło ją w sposób dziki, nieprzewidywany, nieestetyczny, doktrynerski. Modna dziś na scenie tendencja wyparła natchnienie psychologiczne, które z taką miłością postać bohaterki przez dwa pierwsze akty pieściło, i, swoją robotę w miejsce pięknotwórczej podstawiając, zmusiła widza do wysłuchania wyjątku z broszury *à la Dumas*. W chwili, kiedy mamy wszelkie prawo spodziewać się rozwiązania isticie dramatycznego, wyskakują na nas z zasadzki nieszcześnie owe prawa kobiety, chwytają nas za gadło kwestya małżeńska: i tracimy piękny utwór, wzamian zyskując ważną kwestyją. Grzechy tendencyi, morderstwa spełniane przez nią na sztuce, trzeźwiejsza dopiero od nas potomność policzy.

W jednym z miast szwedzkich mieszka Torwald Helmer ze swoją żoną Norą, istotą niezmiernie żywą, wesołą, ujmującą, serdeczną, przywiązaną czule do dzieci, kochającą męża, tak, jak mężowie rzadko są kochani, istotę, należącą do tego rodzaju kobiet, który Shakespeare uosobił w Porcyi Weneceyance. Jak zwykle bywa przy takich tempe-

ramentach i takich charakterach, umysł Nory, bardzo bystry, odznacza się przytem lekkością; nie wie, że życie to robota ciężka w kopalniach, nie pojmuje, że są surowe obowiązki i surowsze prawa, które bez miłości i poza nią istnieją i działają, z którymi ta miłość właśnie liczyć się musi, aby wymaganiami ich własne swe ograniczać pragnienia. Dla Nory miłość jest wszystkim: miłość męża, dzieci, świata całego. Istota to bez rozsądku i bez egoizmu, przeznaczona do przejścia przez życie w nieustannym uśmiechu, którego śmierć nawet z oblicza jej nie spłoszy.

Takie wszechwładztwo bezwiednej uczuciowości popchnęło Norę w początkach małżeństwa do czynu wielkiej nierozwagi. Kiedy chorego Torwalda trzeba było wywieźć do Włoch, a funduszu na taką podróż brakło, Nora pożyczyła u niejakiego Krogstada, notaryusza, 10,000 fr., uczyniła to bez wiedzy męża, który mógł mniemać, że pieniądze od jej ojca pochodzą, a co gorsza — co już bardzo złe — pod obligiem podpisała tego właśnie ojca jako poręczyciela. Podpisany umarł, ale podpis pozostał. Małżeństwo wróciło do kraju: mąż z odzyskanym zdrowiem, żona z troską, która wszakże tej natury, tak łatwo żyjącej, nie przysgniotła ciężarem. Przez ośm lat Nora wesołością, przyjemnością w życiu, słonecznością swej istoty, uszczęśliwiała siebie, męża, dzieci i całe otoczenie swoje. W skrytości, w ciszy swego pokoju po nocach pracowała na ów dług nierozumnie zaciągnięty, tłómacząc powiesić do czasopism; oszczędzała, co mogła, z wydatków na dom, na siebie; umiała nakłaniać serce mężowskie do otwierania pugilaresu na nadzwyczajne dodatki: i tak spłaciła wszystkie raty długu z wyjątkiem jednej, którą sztuką niewypłaconą jeszcze zastaje. Byłoby się wszystko ze względu na odpowiedzialność prawną dobrze skończyło, gdyby nie to, że ów wierzyciel, człowiek ze złym imieniem i złym charakterem, zagrożony utratą stanowiska, na którym p. Helmer mógł go utrzymać, postawił ultimatum: albo wstawienie się skuteczne do męża, albo wyjawienie przed nim całej straszliwej prawdy. Pod taką groźbą pierzcha wesołość; ta lekka, swobodnie żyjąca Nora, ulega tragicznemu wstrząśnieniu. Po próżnych staraniach ostatecznie Krogstad dostaje dymisyją, a zaraz potem w skrzynkę do listów p. Helmera wpada pismo wyjaśniające błąd jego żony. Nadzieja dostania pieniędzy, spłacenia długu i utrzymania obligu zawodzi. Całe zbawienie jeszcze we zwłóce, podczas której możnaby Krogstada nakłonić do cofnięcia orskarżenia. Nora tańczy szaloną tarantellę, przygotowaną na popis balowy, zabawia nią męża, a tymczasem niejaka Krystyna Linde idzie do owego wierzyciela, który okazuje się dawnym jej narzeczonym, aby wyratować przyjaciółkę. Krogstad wyjechał: miecz lada chwila spadnie; Nora, zjęta wstydem szlachetnym przed mężem, tak kochanym i tak kochającym, postanawia się utopić: oblicza godziny życia, ale nazajutrz jedzie jeszcze na ów bal, jakgdyby śmierć już w duszę jej nie była zajrzała. Na tem kończy się akt drugi. Owa przyjaciółka rozmawia się z Krogstadem, lepiej o sobie jednak niż o Norze pamięta: oboje rozstają się nanowu narzeczonymi. Tymczasem małżonkowie wracają z balu, mąż wyjmując ze skrzynki owo brudne pismo Krogstada i idzie z niem do siebie. Ostatnia chwila nadeszła. Nora idzie się topić. Nagle wpada mąż z krzykiem rozpacz; stoi przed nim w mileniu winowajczyni, a gdy przemówiła, to tylko na to, aby z nim rozprawę o obowiązkach męża przeprowadzić i powiedzieć mu, że go nie kochała nigdy i że go teraz opuścić musi, aby się nauczyć obowiązków kobiety. Jakoż oddaniem pierścionków, opuszczeniem domu mężowskiego przez Norę, kończy się sztuka.

Każdy widzi, że takie rozwiązanie łamie cały pochod wydarzeń i jak fałszywy akkord, wpada w poetyczną harmonią pierwszych dwóch aktów sztuki. Nora, zabijająca męża rozumowaniem, zamiast, coby miała zabić samą siebie ze wstydu, nie jest Norą postawioną pod pregiertem tragiczności, słuchającą przesłanniczą miłosnego zwierzenia się biednego Dra Ranka, gotową okupić nierozwagę ofiarą życia, przeciwstawiającą bohaterstwo samobójstwa nieszczęśliwości Krogstada. Akt trzeci nietylko zepsuł rysunek i koloryt głó-

wnej postaci, nietylko błędnie ustosunkował Norę do Torwalda i fałszywie dał całej sztuce rozwiązanie, ale nadto jeszcze samowolnie porzucił na gościńcu sympatyczną wielce postać Dra Ranka, a w niewłaściwym, niepotrzebnie zadymionem, świetle ukazał Krystynę. Nic nie zdoła usprawiedliwić owej rady danej Krogstadowi: aby list swój pozostawił Helmerowi, bo złe musi raz wybuchnąć. Przez całą sztukę, żadne złe nie wybuchło: zkąd tu nagle wybuch ostateczny ma być potrzebnym? Nora i Torwald mogli byli w największej pogodzie złotego wesela ze sobą doczekać — gdyby nie Krogstad, który szczęście ich zburzył.

Nie znamy prawa szwedzkiego, ale punkt wyjścia do groźb Krogstada i tragicznego nacisku na duszę Nory, nie wydaje nam się dość silnym. Nędzny, niemilosierny człowiek, nie mógł z dokumentu posiadanego wyprowadzać dla siebie takich praw, jakimi groził: podpis może być skarżonym o fałsz, przez stronę przeciwną, ale nie przez tę, która z niego korzysta i, jak tutaj, przez całe lat ośm świadomie korzysta. Groźba Krogstada mogła mieć powagę wobec Nory, ale nie ma dostatecznej powagi wobec widza.

P. Modrzejowska znakomicie przedstawiła Norę: zabawa z dziećmi, rozpaczliwe oparcie się o drzwi, pierwsza rozmowa z Krogstadem, wysyłanie Krystyny, omdlenie po tarentelli i sam szal w tańcu, wrazenie po spowiedzi Dra Ranka, postanowienie śmierci, idealne zapatrzanie się w grobowe nurty rzeki: są to wszystko momenta, których się nie zapomina prędko, i sztuka sceniczna pochwalić się niemi może. W drugiej rozmowie z Krogstadem zbrakło siły. P. Marcello-Chrasczewska trzymała się na wysokości roli Krystyny; ale p. Leszczyński, jako Torwald, w akcie trzecim, w którym już rzeczywiście działać musi, utracił cały swój zarobek z dwóch pierwszych aktów i z wielkim jeszcze ciężarem niespłaconego długu stał przed widzem przy zapadaniu zasłony. Akt trzeci potrzebuje dla siebie artysty bardziej inteligentnego, szlachetniejszego w ruchach i wysłowieniu, lepiej umiejącego rolę i niepopelniającego błędów w mowie. P. Rapacki grał z talentem, ale bez tego utajonego ciepła, jakie ma w sobie postać Dra Ranka. Krogstad p. Ładnowskiego zanadto się wykrzywił.

S. K.

## ODCZYT PROF. TARNOWSKIEGO o Krasińskim.

W dalszym ciągu rozwoju poezji romantycznej w Polsce, w szeregu odczytów, urządzonych na dochód Osad Rolnych, w sali Ratusza Warszawskiego, wygłosił prof. Tarnowski rzecz o Krasińskim, o jego najpierwszym i najwybitniejszym utworze: *Nieboskiej Komedji*. Odczyt ten, na trzy godziny rozdzielony, odbył się w dniach 22, 24 i 26 Lutego r. b.

Słyszeliśmy już prof. Tarnowskiego, mówiącego o Mickiewiczu i Słowackim: usłyszeliśmy go teraz charakteryzującego nam trzecią wielką gwiazdę naszego Parnassu. Wybór utworu ułatwiał zrozumienie samego twórcy. W *Nieboskiej Komedji* jest już Krasiński, z całą swoją filozoficznością, z rozumem umiejącym uczuciami rządzić, z darem przedmiotowości w tworzeniu, z wielkością pomysłów, z tym geniuszem architektonicznym, który w nim Tytana przypomina — wreszcie, co go najbardziej charakteryzuje, z dumą swoją i przeciwstawianiem się terażniejszości. Duma jest główną potęgą działającą w stwarzanych przez niego postaciach; duma była najgłówniejszą jego własnego charakteru zaletą i — wadą zarazem. Żaden poeta świata z tych, których znać mamy obowiązek, nie umiał tak, jak on, kształtować dumy w piękno poetyczne, siłą i urokiem przemawiające, i ten człowiek, który tak głęboko i wdzięcznie w *Listach* swoich rolę pokory w umoralnianiu człowieczeństwa określił, dla samego siebie krwawym trudem chrześcijanina, szczerą natchnioną wiarą, zdobywać ją musiał. Ach, bo też życie samo wparło go w samym początku drogi na ten szczyt, z którego mógł się już czuć wyższym nad innych,



nie przez arystokratyczność,— takiej on lichej ambicji nie miał—ale przez czystość duszy i poczucie mieszkającego w nim geniuszu.

Aby tę dumę wyrozumieć w jej dobrem prawie, aby pojąć owe przeciwstawianie się wszechświatowej terażniejszości, aby znaleźć odpowiedź na pytanie: dlaczego Krasiński w 1833 roku napisał *Nieboską Komedję*, a nie *Irydion*, i dlaczego od idei kosmopolitycznych zaczął a nie od innych, które i dla niego samego były nieskończenie bliższe i nawet dla świata ówczesnego nieskończenie żywsze i żywotniejsze?— chcąc to wszystko sobie wyjaśnić, potrzebaby zestąpić do życia i wziąć pod uwagę ową przygodę młodości na uniwersytecie, która prawie przez całe życie duszę mu przytaczała, wywołując ów ból, przez poetę samego jedyną prawdą, jedynym faktem żywota nazwany. Prawowita дума Krasińskiego cierpiała, nietylko tym bólem, ale i myślą o przepaści, oddzielającej jego najkardynalniejsze stosunki, tę nagą, bardzo nagą rzeczywistość, od szlachetnych, wyniosłych, własnym trudem, bo nie w tradycji, nie w otoczeniu domowym, nie w koleżeńskim obcowaniu—którego dobrodziejstwa los mu zbyt prędko odebrał—zdobytym idealów. Ta дума jego wypielegnowała wielki jego talent, wyprowadziła go z tych ziarn, które Bóg sam w naturę jego rzucił; ta дума również, sprzymierzona z ową nagą rzeczywistością, odrzuciła go gwałtownie od swoich; a koleje życia jego na trzy i dwa lata przed podjęciem kosmopolitycznego tematu *Nieboskiej Komedji*, same popierają postawione tu domniemanie, sądzimy dość silnie, aby wszelki umysł umiejający kochać, nietylko wielkość, ale i prawdę, szukał jej w tym, a nie w innym, kierunku.

Tak odrzucony własną wolą swoją, miał również własną wolą zespolić się, zjednoczyć, związać z powszechnością, do której należał,— i już go nikt od niej nie oderwie, choćby nawet nazwisko jego nazawsze zniknęło z jego utworów. Przyszła równoż w umyśle, własnym ustaloną trudem: i ten duch szlachetny, bardzo potężny i na sobie samym oparty, zestąpił ze skały samotnej, poza granicami rzeczywistych w owej epoce zagadnień, walk i boleści społeczeństwa sterczącej ku niebu, i wszedł w sam środek, w samo serce narodu, do którego należał. Za przejście posłużył mu *Irydion*. Odtąd jest już Krasiński poetą narodowym; *arystokratycznym* ci go tylko nazywać mogą, których gniewa jego dumna pogarda dla nowych porządków wprowadzonych przez demokrację z epoki od 1840 — 1848 r. Obok żywiołu narodowego działały aż do końca życia, aż do *Psalmu Dobrej Woli*, trzy inne: religijny, etyczny i zachowawczy, ale nie tłumili nigdy tego, który był głównym, naczelnym.

Sądzimy, że takie tylko wyrozumienie tej ogromnej duszy i tego ogromnego talentu dać może materyał do wypełnienia formy przez Klaczkę ustawionej: Krasiński istotnie w działalności swojej objawiał ruch dośrodkowy, zakreślał koła o coraz mniejszym promieniu, bo stanawszy zrazu na krańcach, dążył potem coraz miłośniej do owego środka, do którego ciężą miliony; ta wspólność ciężenia czyni go właśnie poetą narodowym. Ze wszystkich poetów naszych jest on, po Stefanie Garczyńskim, najbardziej filozoficznym, najgłębszym; ma do filozofii, nietylko skłonność, ale i uzdolnienie rzeczywiste, jak to widać z jego listów do Gaszyńskiego i innych.

Czy miał Krasiński prawo nazywać ból jedyną prawdą, jedynym faktem swego życia? Prof. Tarnowski pytania tego sobie nie zadał: a szkoda, bo umysł tak krytyczny, ilekroć się dobrowolnie krytyki nie zrzeka, mógł nam dać, i zajmującą, i nauczającą odpowiedź. Bezwątpienia ból z wyżej wskazanych, indywidualnych, przyczyn tkwił w duszy przez całe życie; a znowu przyczyny szerzej rozpostarte dodawały do niego cierpienie większe i ogólniejsze. Cierpiał więc i cierpieć musiał, bo pomiędzy nami nędzne tylko dusze nie zaznają nigdy cierpienia: ale czy jest na ziemi człowiek, któryby mógł całe swoje życie do bólu sprowadzić; czy jest człowiek, któryby w takim odczuciu i określeniu swych ziemskich kolei nie dopuszczał się pychy i niesprawiedliwości względem losu, względem Pana Świata,—a w tego przecież Krasiński tak szczerze, tak gorąco wierzył? Miał prawo poeta nasz powiedzieć: „Jak Dant

przez piekło przeszedłem za życia“; ale nie miał prawa uważać się, i sam z pewnością nie uważał się, za męczennika. Zwykła to słabość natury ludzkiej, że złe doznane dłużej i silniej niż dobre pamięta: nie wmawiajmy w Krasińskiego, iż tej właśnie słabości ulegał, on, duch nad naturą panujący. Sam on przedewszystkiem wiedział, że jest człowiekiem. Życie darzy nas cierpieniami: to prawda, ale nas także i rozkoszami obdziela; niema zaś duszy tak zbolącej, żeby, mogąc się jeszcze na drabinie bytu utrzymać, nie czuła potrzeby życia, używania, przyjemności, radości i rozkoszy. Uczuwamy ją wszyscy; gorczycznego ziarna szczęścia z serca swego nikt nie wyrzuci. Miał i Krasiński w życiu nie sam ból tylko: miał używanie, radość i rozkosz; jako poeta przechodził, i to w wyższym stopniu niż każdy z nas, zwykłych śmiertelników, przez całą tęczę wrażeń, rozszepiających się z przyzmatu życia. Był człowiekiem, jak i my wszyscy ludźmi jesteśmy: miał żądze, rozkosze, cierpienia i winy. Gdyby tylko cierpiał, byłby rozplakany mazgajem. Dla takiego talentu potrzebną była właśnie taka osobistość, którą, nietylko złe i dobre idące do niej ze świata, ale i złe idące z niej samej głęboko odczuwała.

Jedną ze zgrzyot tego ostatniego rodzaju była dla Krasińskiego myśl, że, dając z siebie tyle jako poeta, tak mało daje jako człowiek-obywatel. Czuli on dobrze, iż świetnemu wybuchowi: „Zgińcie, me pieśni, wstańcie, czyny moje“ nie odpowiedziało życie. Trzymanie się zdala od ówczesnego ruchu umysłów wynikało z przekonania: ale tesame przekonania właśnie nakazywały wejść w mrowisko życia, w społeczeństwo rzeczywiste, a nietylko ideowe; złącząc się z niem wspólną, powszednią, ale na jutro obliczoną, pracą; krwią serca własnego, trudem rąk własnych, potem wspaniałego czoła, jowiszowych brwi chmurą, poświęceniem własnej osoby — pracować i działać. I jeszcze raz spotykamy się tu z ową dumą, która Krasińskiemu była, i w poetycznej działalności, i w czynach człowieczych, głównym, nad innych wyniesionym, demiurgiem. Przędne prostotą swoją słowo Ś-go Augustyna: „Gdy nie można robić rzeczy wielkich, potrzeba robić rzeczy małe“, — do tej szeroko rozkolonej duszy przemówić nie zdołało. Od poetów wogóle nie wymaga się czynów jako pewnych owoców społecznych; ale i poeci, właśnie jako poeci, powinni żyć, powinni stać w upale, kostnieć na mrozie i zawiei, znosić ulewę i wichy. Życie jaknajbogatsze potrzebnem jest dla jaknajbogatszego twórczenia. Przez co Dante jest tak wielkim? Przez życie swoje. A co zaszkoziło Słowackiemu do otrzymania pierwszego miejsca w panteonie całej ludzkości: to, że nie żył prawdziwie—tylko trwał.

Charakterystyka człowieka i poety w wykładzie prof. Tarnowskiego była wątlą i jednostronną i dlatego też nie wypełniła ram logicznych danego przedmiotu. Złożyły się na to może same okoliczności; ale przypomnieć potrzeba, że i we wstępie do wydania dzieł poety z r. 1875 p. Tarnowski o psychologiczną stronę biografii zaledwie się otarł. Charakterystyka talentu, w ogóle prawdziwa, w powabną przyodziana formę — musiała znaleźć zasłużone uznanie. Sam wykład *Nieboskiej* był zanadto rozwlekłym, zawilim, powtarzającym się — a co gorsza nawet, tu i ówdzie naciągany. Przesadnem było twierdzenie, że w *Nieboskiej* odbiła się najlepiej cała współczesność zadań i walk społecznych i że w literaturze powszechnej niema utworu, któryby mógł co do rodzaju i zakresu obok *Komedji* Krasińskiego stanąć. W ostatniej części swego wykładu sz. Prelegent, zmierzając zawsze prosto do celu, prędzej i łatwiej go osiągał: przekonywał słuchaczy bez trudu. Ukazał nam tu professor Tarnowski ostatecznie już a trafnie zasadniczą myśl całego utworu, i leżące już poza nim uzupełnienia w dziełach lat późniejszych. *Psalm dobrej woli* stanął przed nami jako ostateczny odbiornik tych myśli i uczuć, które w dziele 21-letniego młodzieńca tak wspaniałym już płyną potokiem. Spojrzenie rzucone przez sz. Prelegenta na szerszy widnokrąg przypominało najpiękniejsze chwile jego wymowy na katedrze przygodnej w naszym grodzie. Słuchacze podjęli gościnnie Warszawy gorącym oklaskiem, w którym i krytyka, broń złożywszy, szczerze uczestniczyć musiała.

Płynność, swada krasomówcza, wdzięk formy — która z retorycznych, ale nie powiemy, żeby przy rodzaju talentu prof. Tarnowskiego niewdzięcznych, wyżyn przechodzi coraz wyraźniej, z każdym rokiem, na poziomy pogawędki,— z nazwiskiem sz. Prelegenta są tak ściśle związane, iż dla własnej tylko przyjemności je tu przypominamy. Czystość wystąpienia polskiego razilo używanie przyimka w po słowie *wątpić*. Miał to i sam Krasiński.

S. K.

## Korrespondencya zagraniczna.

Sara Bernhardt. — Krach paryzki i pasierb jego wiedeński. — Nie ułada się Niemcom sztuka. — Krach. — Serbia i powstanie w „Nowej Austrii“. — Mizerny karnawał i smutek. — Wegetaryanie. — Sztuka węgierska. — Munkacsy. — Słowiański *Sbornik* w Pradze.

Wiedeń, w Lutym 1882 r.

(Dokończenie).

Przejdźmy z kolei w sferę pokarmów... duchowych. Po Sarze Bernhardt i Wereszczaginie zapoznawał w Wiedniu *Munkacsy*. Znał świat muzykę węgierską, Liszta i cyganów, znał poezję Petoefiego, znał powieści Jokaja; w ostatnich czasach podniosła się i umiejętność węgierska przez badaczy Wschodu, podróżników, archeologów i historyków; rozwinęło się szeroko i dziennikarstwo: ale jak z jednej strony o przemyśle, tak z drugiej o sztuce węgierskiej nikt dotąd nie słyszał. Naraz zjawił się olbrzym, zjawisko niespodziane, i odrazu stworzył i utrwalił sławę sztuki węgierskiej. Zkąd on się wziął, jak się to stało? Na takie rzeczy wieki pracują; my n. p. mieliśmy u siebie zrazu artystów obcych w XVI w. i później, swoich artystów mamy od XVII w., ciągnie się ich łańcuch nieprzerwany aż do dzisiaj. Ale w Węgrzech nie podobnego nie było.

*Spiritus flat ubi vult*. Oto jedyne wytłómaczenie takich zjawisk, jak Munkacsy. Możnaaby tu jeszcze przytoczyć okoliczność, że w czasach nowożytnych żaden geniusz, żadna praca nie jest wytworem wyłącznie kultury jednego narodu. Szkoła dla artysty jest dzisiaj cały świat i praca wszystkich minionych wieków; jedynie z tego wspólnego pnia ludzkości rośnie twórczość, której własna narodowość nadaje tylko pewne odrębne, oryginalne znamiona, niemniej jak i osobiste przygody.

Munkacsy rósł wśród ludu węgierskiego; gdy w duszy jego gromadziły się mimowiednie potężne wrażenia artystyczne, ręka malowała szyldy i numera na domach. Potem uczył się w Düsseldorfie, w Wiedniu, w Monachium, w Paryżu, zdobył technikę malarską; ponurość jego wrodzona i dzikość złagodniały w świecie arcydzieł i wykwinu cywilizacji i w atmosferze domowego szczęścia, które nam sam przedstawił. Przebiegł on w duszy swojej i w rozwoju swojej twórczości drogę daleką: od scen i ludzi napółdzikich do Miliona, od włóczęgów nocnych i zbójów skazanych do Chrystusa, od roboty patronowej do bujnych kwiatów, które po obrazach swoich rozsypywał lubi, od cieniów nocy do słonecznych krajobrazów, od surowości ludowego domowstwa, do zbytku salonów paryzkich. Dzisiaj malarska jego pracownia jest najpiękniejszą w Paryżu; znajduje się ona przy Avenue de Villiers, za parkiem Monceaux, w sąsiedztwie willi i pałaców Meissoniera, Sary Bernhardt i t. d. „Hôtel Munkacsy“ jest pałacem zewnątrz i wewnątrz, pełnym gobelinów, rzeźb i obrazów innych mistrzów, które artysta za drogie pieniądze nabywa. Idzie się miękko i cicho na pierwsze piętro do salonu obitego czerwonym aksamitem. Z salonu wychodzi fumoir, gdzie siedzi ulubiona papuga Coco, która doskonale udaje głos pana, jego gwizdanie, często nawet psa Mourico zwoździ, udając, że go pan woła. Tutaj gromadzi się codzień przed obiadem, wiele bardzo osób ze świata arystokratycznego, finansowego, artystycznego. Do typu faryzeusza siedział tutaj artyście: Gurowski, zięć królowej Izabelli. Tutaj przyprowadził raz Munkacsy pijanego robotnika z typową twarzą, lecz



ten, zobaczywszy zaczarowany pałac, zaklął i uciekł. Munkacsy w świecie tym pozostał Węgrem typowym; węgierskie anegdoty są ozdobą i tłem jego rozmowy — a szczególną ma słabość do gwizdania, urządzając niekiedy istne koncerty. W tejsamej jednak pracowni na wspaniałym fortepianie, niemniej wspaniała pani domu przygrywa. Jest tu dom, rodzina, inaczej niż u Makarta, gdzie jest tylko zbytek i szal wykwinny. Kilka wiadomości autentycznych o pracach Munkacsego niechaj posłużą za wstęp do opisu ostatniego dzieła.

*Szczany*, pierwszy obraz, który wywarł głębsze wrażenie, ukazuje typy ludowe węgierskie. Malował go artysta w Düsseldorfie, sprzedał do Filadelfii za 2,000 talarów. Gdy obraz ten następnie w Paryżu zdobył medal, handlarz Goupil pojechał do artysty, ofiarując mu 20,000 talarów — lecz ten odpowiedział: co sprzedane, to sprzedane. Nad Renem również wymalował Munkacsy *Skubanie szarpi*; dziewczęta smutne, którym ranny opowiada podczas roboty. Bardzo to ładny obrazek; tematem przypomina Grottgera, ale tylko tematem; kupiony do Londynu. *W łóżcu nocne*, których policja wyłowiła i prowadzi, oraz *Junacy wiejscy*, także do Londynu kupione, pierwszy za 3,000 funtów st. Widać na obrazie całą galerię typów, na każdym jakaś namiętność: smutny obraz i artysta musiał być smutnym, gdy tylko takie temata go nęciły. *W lombardzie*, piękny, ale niemniej smutny obraz nędzy ludzkiej, kupiony do Nowego Yorku. Wreszcie *Atelier*, w którym artysta przedstawił siebie przy pracy i żonę, kupił handlarz Gedelwayer w Paryżu.

Po tych obrazach pojawił się „Milton dyktujący córkom *Raj utracony*“. Jestto jakby epizod z dziejów artysty, który długo chorował, popadł w najwyższe rozdrażnienie zabroniono mu brać piędzel do ręki; snuł tylko w sobie, nieszczęśliwszy wtem od Milona, który mógł przynajmniej dyktować. Obraz ten kupił Amerykanin Kennedy za 100,000 fr., ażeby go podarować założonej przez stryja jego w Nowym Yorku bibliotece ludowej (!) „Lemnox library“. *Odwiedziny u nowonarodzonego* kupione także do Nowego Yorku za 60,000 fr. przez właścicielkę bazaru *à bon marché* mrs. Stevart. Śliczny obrazek rodzajowy *Dwie rodziny*: matka z dziećmi przy stole, a na ziemi suczka z małemi, którym dzieci jeść dają, kupił do Nowego Yorku król kolejowy Vanderbilt za 75,000 fr. Ten Vanderbilt miliony corok w Europie wydaje na zakupywanie dzieł sztuki. Anglia i Ameryka panują nad targiem sztuki europejskiej, — ale nie o tem mowa.

Płodność Munkacsego jest niewyczerpaną; obrazy sielankowe, kwiaty, widoki maluje on z miłością, a szalenie szybko. Co tylko gotowe, idzie zaraz w świat za 6, 8, 10 tysięcy.

O największem dotychczasowem dziele swoim: *Chrystus przed Pilatem*, powiedział Munkacsy: „maluję największą scenę, jaka się od dwudziestu wieków zdarzyła“. Jak ją wymalował, o tem świadczy, nietylko tryumf po wszystkich stolicach, ale i legenda, która się już około tego obrazu utworzyła. Stała w tłumie matka z chłopczykiem i oglądała obraz. Chłopczyk, mały, nie nie widział: więc wzięła go na rękę, podniosła i zapytała: widzisz teraz? — „O teraz widzę, *ale jeszcze nie słyszę*“. Akcja obrazu tak uderzyła umysł dziecka, że widziało żywych ludzi i chciało być bliżej, aby słyszeć. Od czasów Rembrandta nie było podobnej legendy o żadnym obrazie.

Obraz Munkacsego nie jest skokiem w rozwoju twórczości artysty. Studiował on długie lata złość i nędzę ludzką, zanurzał się w głębie ducha w Miltonie; materiału, typów do obrazu dostarczyła mu praca całego życia. Odnajdujemy tu podobieństwo niejedno do typów ludowych z dawnych obrazów. Znajomość świata rzymskiego zawdzięcza artysta własnym studjom, ideał zaś samego Chrystusa, wypracowanego mozolnie, długo, zawdzięczyć powinien temu darowi Niebios, jakim jest wszelki geniusz. Genezy tego wielkiego utworu swego Munkacsy bynajmniej tajemniczością nie otacza: owszem wprowadza nas śmiało do pracowni swojej duszy. W Künstlervereinie są wystawione szkice do wszystkich powyżej wymienionych obrazów i studia do ostatniego. Wi-

dzimy tu czterech Chrystusów; dopiero piąty, już na obrazie... okazał się dobrym. Wystawa tych szkiców, to oprowadzenie nas po labiryntach pracy i fantazyi artysty, niezmiernie jest pouczające; ale niepodobna mi tu nad tem się zatrzymywać: stoimy raczej przed samym obrazem.

Wielki sklepiony krużganek, na przedzie sąd, w głębi lud, a widok na pola, gdzieś daleko. Na podwyższeniu zasiadł Pilat; wyobraża on świat rzymski, cesarowy. Postać Pilata jest arcydziełem, patrzymy tu na *lète carée*, typ znany nam już z obrazów Siemiradzkiego. Waży on rękami sprawę przedłożoną mu, nie ze stanowiska oskarżyciela, ale z punktu widzenia politycznego: toć przecież oskarżają samozwańczego „króla Judei“, a samozwaństwo takie nie może być obojętnem dla pani świata, Romy!

Obok Pilata wspaniała kapłan żydowski peroruje głośno, oskarża, a mowa jego odbija się na fizioznomiach siedzących uczonych w Piśmie i Faryzeuszów. Każda postać inna, każda typowa. Na dole i w głębi lud, odgraniczony poprzecznie założoną dzidą żołnierza rzymskiego. Są tu wszelkie typy, jakich tylko Wschód dostarczyć może: namiętność przesładowca, fanatyczna, posuwa się aż do szału, do krzyku — tak, że widocznie proces sam miesza się z wyciem motłochu. W środku, między rzeszą sądową a ludem, stoi Chrystus. Jeżeli malować tę postać trudno — to opisać namalowanej nie podobna, trzeba tylko zaprotestować przeciwko oskarżeniu artysty o realistyczne traktowanie. W tej białej postaci, o rysach tradycyjnych, promienieje miłość, spokój, przebaczenie, bolesć, boskość i ludzki żal — nie podobnego nie widziałem, ani w życiu, ani na obrazie. Może ekstaza, idealność Szkoły Nazareńskiej są mistycyjsze, ale niebiańskość postaci nie może być szlachetniejszą, niż jest na tym obrazie. Prawda, że nad głową Chrystusa niema glorioli, ale bo też Munkacsy nie malował obrazu religijnego, tylko *historyczny*, ludzki.

Ugrupowanie jest proste, zrozumiałe od razu, jakby w epepei, chociaż grają tu tragiczne motywy. Tłem jest lud i uczeni żydowscy, a naprzeciw siebie stoją dwa światy: Roma pogańska i miłościwe chrześcijaństwo. Lud, oskarżyciele biorą tylko udział w scenie sądowej, miejscowej, nie przeczuwają, jakie to dzieje się waży; ale dla widza odsłonił artysta w zupełności tajemnicę tej największej sceny w historii.

O technice, o sposobach malowania, o tej psychologicznej sile każdej postaci, którą i nasz Ma tejkę tak się odznacza, wreszcie i o błędach — mówić nie będę. A lubo artysta jest dziedzicem całej artystycznej pracy wieków, to przecież obraz ten jego nie ma poprzedników, nie ma wzorów, ani w renesansie, ani w nowej szkole: jestto wytwór własnej oryginalnej pracy, własnego pojęcia i własnych studyów. Sam zaś Chrystus, taki, jaki jest, bez bizantyjskiego złotego nimbusu, jest słońcem wśród tego świata powszedniości, złości i władzy. Jedną jest tylko wśród tłumu kobieta z dzieckiem na ręku, która z litością patrzy na *syna człowieczego*. W jej serce padło już ziarno nowej nauki.

Mówią, że wrażenia młodych lat sprawiły, iż Munkacsy wpadł niejako w ciemny koloryt, tak, jak zagłębił się zrazu w ciemne zauki duszy i życia. O tym obrazie powiedział Meissonier, że oprócz *Ronde de nuit* Rembrandta, niema utworu pendzla o tak soczystym kolorycie. Obraz jest już w Peszcie, dokąd i artysta z żoną ma przybyć — aby tryumfu zażył.

Chrystus Munkacsego jest już własnością handlarza paryzkiego.

Pisałem niedawno, że przy Wiedniu o Peszcie zapominać nie mogę. Dowodem tego: Munkacsy. Ale jest i trzecia stolica, która w Austrii wydobywa się na pierwszy plan: *Praga czeska*. Wiecie o tem — więc pozwólcie, że zakończę wycieczką do Pragi.

P. Edward Jelinek wydaje tu *Sbornik slovansky* niby wspólne ognisko i salcn wspólny dla całej słowiańszczyzny — dla wszystkich odrębnych, oryginalnie i samodzielnie wyrobionych, lub wyrabianych się ludów i krajów słowiańskich, do których przegląd ten woła swoim hasłem: „poznajmy się!“

Wydany już pierwszy zeszyt zawiera w sobie

następujące prace: *O Czarnogórze*, *Holeczka*, o *Łużyckich Serbach*, *Hornika*, *O Istrii i Kroacy*, *O Słowaczynie*, *Rusi*, *Bułgarii*, *Pokornego*. Autorowie piszą w swoim narodowym języku, redakcyja tłumaczy na czeski. O polskich rzeczach znajdujemy wiele artykułów: *Polskie panie i dziewczęta*, *Jelinka*; *Starania Zygmunta o koronę czeską 1526*, *Rezka*; *Etnograficzna wystawa w Kotołymi*, *Lewickiego*; *Album malarzy polskich*, *Tyni*; *Polska literatura w Czechach*, *Jelinka*. Najobszerniejszą jest rozprawa *A. H. Kirkora* dla *Sbornika* napisana, a przełożona przez *Horu*: *Groby a mogiły w Polsce, na Litwie i Rusi*. Mamy tu zestawienie i umiejętną syntezę z wszystkich prac na polu badań przedhistorycznych, między którymi własne badania autora nieposlednie zajmują miejsce i całej pracy piętno bezpośredniej prawdy nadają. Wiadomo, że Kirkor jeszcze przed rokiem 1861 na Litwie i Rusi przeszło 1,000 kurhanów zbadał; od czasu zaś utworzenia Akademii Umiejętności w Krakowie zwiedza rokrocznie Galicyę, jako delegat tego uczzonego ciała i owoce tych badań składa w zbiorach akademii, a wyniki opisuje w jej wydawnictwach.

W rozprawie powyższej wykazuje autor historyczny rozwój prac archeologicznych u nas, poczem daje opisy mogił na Litwie, ciałopalnych i szkieletowych, ich budowy i zawai tości. Ku granicom, nad brzegami Bałtyku, znajduje się bardzo wiele bronzów fenickich i rzymskich, bardzo pięknych — bo też Litwa prowadziła w przedhistorycznych czasach wielki handel zamienny z owymi ludami na swój bursztyn. Autor uzasadnia twierdzenie braku wyrobów żelaznych; są tylko bronzowe. Ryg-Wedy wyliczają narzędzia bronzowe używane przez przodków naszych jeszcze w Indyach. Z badaczy litewskich uwypatnia Kirkor Eustachego hr. Tyszkiewicza, założyciela muzeum wileńskiego i Adama hr. Platera (dzisiejszego marszałka gub. wil.), który posiada piękne zbiory.

W Polsce inny obraz. Mogił nasypowych kurhanów, nad Wisłą i jej dorzeczymi niema: tu zalegają cmentarzyska wielkie z rzędami urn, popielnic. Opisy ich są nader zajmujące, a pracownicy wymienieni: Podszaszynski, Łepkowski, Sadowski, Polkowski, Ziemięcki; muzea w Krakowie trzy, we Lwowie trzy, w Poznaniu, w Toruniu. W końcu mamy dokładny obraz obrzędów pogrzebowych na Białej Rusi, na Podolu, Pokuciu, we Wschodniej Galicyi, więc nad Dnieprem, Dźwiną, Niemnem, Prypecią, Berezyną, Dniestrem, Seretem, Zbruczem. Na Podolu i Pokuciu pierwszy dopiero Kirkor badał, a z wielkiem powodzeniem, i zachęcił do dalszych badań, którymi się zajmuje hr. Szczęsny Koziębrodzki, Wład. Przybysławski i inni.

Najciekawszymi zabytkami są tam groby kamienne, z 6 płyt: 1 wierzchnia, 4 boczne 1 posrodkowa, jakich Kirkor już 9 odkrył, a w nich po dwa *siedzące* szkielety, garnki, siekiery krzemienne, ozdoby bursztynowe. Są to słowiańskie *dolmeny*, a znajdują się też i kurhany, a w kurhanach żelazne narzędzia. Są też i ciałopalne cmentarzyska, a bronzы bardzo piękne nad Zbruczem i Dniestrem, tam, gdzie idzie *wał Trajana*, pierwszy raz przez Kirkora zbadany, również jak i *świątynie w skalach kute*, w Stryjskiem, które są, zaprawdę, cudem niemniej na uwagę zasługującym, jak piramidy, a są też jedynymi w Europie.

Rozprawa Kirkora sprawiła w Czechach wielkie wrażenie; dzienniki rozpisują się o bogactwie jej treści, a rękopismo jej polskie wyprosil sobie Czesi dla muzeum w Pilźnie.

Sądzę, że *Sbornik* powinien być przez polskie czasopisma studyowanym i życzyć mu należy najlepszego powodzenia.

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

W Maju bieżącego roku przypada drugie z kolei rozstrzygnięcie trzyletniego, przez p. z Lindów Górecką, ufundowanego konkursu nazwiska Lindego. Sąd Akademii Krakowskiej przyznaje nagrodę 650 rs. najlepszemu w zakresie lexykografii



polskiej, a do konkursu stawiającemu się utworowi. W 1879 roku po raz pierwszy konkurs był rozstrzyganym, a nagroda przyznana. Następny mieć będzie miejsce w Maju 1885 r.

We wsi Gack, w Powiecie Łukowskim otwarta została kosztem i staraniem dworu szkoła, w której żona miejscowego dziedzica i jej siostra, pełnią obowiązki nauczycielskie. Niech Bóg błogosławi tej najlepszej, najpożyteczniejszej, z prac kobiecych, najpiękniejszej pracy obywatelskiej!

Za inicjatywą p. Maryi Leonardy i poparciem *Echa Łomżyńskiego*, powstała zacna myśl, aby mieszkanki Łomży połączone siłami podjęły się pewnego rodzaju opieki nad chorymi w tamtejszym szpitalu Ś-go Ducha, wspomagając w ten sposób działalność Rady Opiekunczej, której członkowie, jako ludzie pracą zajęci, nie mają dość czasu, ani możności wnikania we wszystkie te szczegóły i potrzeby chorych, które—według dobrego wyrażania Redakcyi *Echa*: „tylko troskliwie oko kobiety dojrzeć potrafi... Rzeczą jest dobra, jest dobra bardzo, i *Echo Łomżyńskie* ma wszelkie prawo do wyrażonej przez siebie radości, że jego „działalność i nawoływanie do pracy publicznej, zaczyna wydawać pewne owoce i przyczyniać się do dobra ogółu“. Taką ambicyą mieć, takich skutków z pracy swojej pragnąć, jest szlachetnym pojęciem stanowiska literatury wśród społeczeństwa swego.

Malarnia p. Józefy Żdzarskiej (ulica Marszałkowska Nr 69) przesłała Redakcyi rozkład lekcji rysunku, malowania olejnego, rzeźby, oraz malowania na szkle i porcelanie: Wtorek: od 9-tej godziny rano do 11-tej rysunek, malowanie olejne, rzeźba, uczy p. Alchimowicz. Od godziny 11-tej do 1-ej malowanie na porcelanie i szkle; uczy p. Gorzelewski. Środa: od godziny 11-tej do 1-ej malowanie na porcelanie i szkle; p. Gorzelewski. Czwartek: od godziny 9-ej do 11-ej rysunek, malowanie olejne, rzeźba; uczy p. Alchimowicz. Piątek: od godziny 1-ej do 2-ej malowanie na porcelanie i szkle; uczy p. Gorzelewski. W Poniedziałek, Środę i Piątek: od godziny 5-tej do 6-tej wieczorem; prof. Chmielowski, udziela objaśnień z zakresu fizyki w zastosowaniu do malarstwa. Opłata miesięczna za naukę rysunku, malarstwa olejnego i rzeźby po rs. 6; za naukę malowania na porcelanie i szkle rs. 5; co, jak na nasze dotychczas przyjęte ceny, jest bardzo tanie.

Współdział kobiety w zarządzie wychowania publicznego w Anglii zaznaczył się niezmierną użytecznością, z początkiem bieżącego roku szkolnego, w osobie Mrs Surr, zasiadającej w Londyńskiej Kommissyi Edukacyjnej (School Board). Szkoły moralnie zaniedbanych dzieci, zowią się w Anglii „Reformatories“, albo „Industrial Schools“, z powodu, że udzielaną tam bywa wychowawcom nauka rzemiosł, mogąca zapewnić im w przyszłości ucziwie i nad nędzę podniesione istnienie. Otóż w jednej ze szkół takich, w londyńskiej, bardzo licznej, *Industrial School of Saint Pauls*, obchodzono się z wychowawcami w zbrodniczo-przykry i nieuczciwy sposób: dręczono ich, morzono głodem, nie dawano im dostatecznej nauki, a to aby odkradać wyznaczone na szkołę fundusze i obracać je na swoją korzyść. Aż dwóch zrozpaczonych biedaków usiłowało podłożyć ogień pod gmach szkolny, co dało początek, że rzecz wyszła na jaw i rozpoczęły się badania, które jednak przelozony szkoły, niejaki Scrutton, zdołał uczynić pozornymi, przez swoje stosunki z wysoko położonymi, a w Londyńskiej Kommissyi Edukacyjnej zasiadającymi, osobami, i rzecz została przydużoną. Zbrodnia byłaby się pełniła nadal: biedne dzieci byłyby cierpiały i psuły się w miejsce poprawy, gdyby nie uczciwość, nie energia kobiety. Mrs Surr, widząc, jaki obrót wzięła sprawa, zebrała na własną rękę dowody oburzających nadużyć, i przedstawiła je kommissyi do badań wyznaczonych; że przecież teraz odpowiedzialność dotknęłaby

już i prezydenta Londyńskiej Kommissyi Edukacyjnej, znów rzecz załagodzono, ale kobieta miała wytrwałość, miała tę cnotę, która gardzi podłością i złą nienawidzi: więc nie zaspiała sprawy, a ta dostawszy, się nakoniec w ręce ministra spraw wewnętrznych, sir Williama Harcourt, który osobiście ją rozpatrywał, tak została rozstrzygnięta, że minister napisał do Mrs Surr publiczny list, dziękujący jej za szlachetną gorliwość i litość nad uciesnionymi, przyczem zganił surowo słabość i poślizgnięcie się Londyńskiej Kom. Edukac. Reforma szkół poprawczych jest wskutek tego obiecana; wkrótce zapewne zadanie odpowiednie zostanie przedłożone Izbie Niższej Parlamentu, a imię Mrs Surr, której to jest dziełem, pozostanie na zawsze zapisane w rocznikach edukacyjnych Anglii. A dzielna ta kobieta, poświęcając się szczególnie sprawie moralnie zaniedbanych dzieci, podniosła obecnie, podobną pierwszej, barzę, żądając reformy w poprawczej szkole marynarki. Londyńskie School Board, posiada okręt: „Shaftesbury“ okręt-szkolę, która jednak jest, zdaniem Mrs Surr, wadliwie urządzone i nie przynosi korzyści odpowiadającejłożonym na nią kosztom. Żąda więc, aby statek sprzedany, a nauka marynarki małoletnich przestępców inaczey urządzonej została.

Jeszcze jedna rzecz dobra wynikła z energicznego postępu Mrs Surr; minister spostrzegł, że nadzór szkolny nietylko nie jest dostatecznym w Anglii, bo dwóch inspektorów na 200 szkół poprawczych, to zamało, ale że żywiol kobiecy powinien być tu reprezentowanym. „Gdzie tylko jest dziecko, tam powinna być także i kobieta“—to zasada ministeryalnego wniosku. Nadzór kobiecy nad zakładami poprawczymi nie będzie w Anglii zupełną nowością: Mrs Nassau piastuje wysoki urząd nadzorczy nad domami zarobkowymi, z tytułem: „Senior Assistant Inspector“ i sprawuje ten urząd ze szczególną dla kraju korzyścią. W Indyach również miejsce rządowego inspektora szkół zajmuje kobieta, wywiązując się z niego dobrze i ucziwie.

Wystawa francuzkich *Femmes artistes* zyskała wraz z rozgłosem większą liczbę wystawczyń, których liczba doszła obecnie do 36. Dzieł tak pendzla jak rzeźby jest 96.

Dwa srebrne medale zostały przyznane we Francji kobietom, za ratowanie ludzkiego życia: Herminii Brontel, za wyratowanie dziecka, tonącego w rzece Doubs, Maryi Chauviniat z St. Viance, za powstrzymanie pożaru, przyczem ona sama została

silnie poparzoną. Marya Chauviniat już raz drugi odznaczyła się w sposób szczególnie zasłużony i pożyteczny przy gaszeniu ognia. Jest ona właścicielką gospody w St. Viance.

Ośm kobiet odznaczających się w zawodzie nauczania publicznego otrzymało godność: „officier de l'Académie“, pięć z nich jest nauczycielkami gminnymi, dwie nauczycielkami niezależnymi, jedna nauczycielką muzyki. Pięć jest zamężnych: Dubernet, Nullet, Muscat, Reignier, Eudoxia Alliz Dubruel; trzy młode panny: Clerc, Dabos, Rogelin. Ośm innych nauczycielek ludowych otrzymało od ministra oświecenia srebrne medale zasługi. Obecnie więcej niż połowę szkół elementarnych prowadzą kobiety. Wymieniona wyżej Eudoxia Alliz Dubruel, dyrektorka klas muzycznych w Chevė, otrzymała wspomnianą godność za czterdzieści lat pracy i odznaczając się rozpowszechnieniem zamięłowania i wykształcenia muzycznego w promieniu swojej działalności.

Dwie Greczynki, uczennice drezdeńskiej szkoły Fröbla, prowadzonej przez Idę Marenholtz, zamężną baronową Bülow, założyły w Atenach pierwszy ogródek dzieninny, którego powodzenie sprawiło, że rząd turecki wysłał do Dreznia dwie studentki rządowej szkoły dziewcząt, aby obznajmiwszy się podobnie pod kierunkiem p. Marenholtz-Bülow z metodą Fröbla, mogły założyć w Konstantynopolu ochronki, prowadzone według tej metody.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją i na dotychczasowych warunkach.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 9-ty arkusz powieści pod tyt.: **Stoczona walka.**

## POWIEŚCI HISTORYCZNE

# Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Ze zbioru tego wyszła powieść pod tytułem:

## BIAŁY KSIĄŻĘ

### Czasy Ludwika Węgierskiego

w 3-ch tomach

Cena egzemplarza Rs. 3.

Dawniej wyszły: **Stara Baśń** w 3-ch tomach. **Lubonie** w 2-ch tomach. **Bracia Zmartwychwstańcy** w 3-ch tomach. **Mastaw** w 2-ch tomach. **Boleszczyce** w 2-ch tomach. **Królewscy synowie** w 4-ch tomach. **Historja prawdziwa o Petruku Właście** w 2-ch tomach. **Stach z Konar** w 4-ch tomach. **Waligóra** w 3-ch tomach. **Syn Jazdona** w 3-ch tomach. **Pogrobek** w 2-ch tomach. **Kraków za Łokietka** w 2-ch tomach. **Król Chłopów** w 4-ch tomach. **Jelita** w 2-ch tomach.

Cena każdego tomu Rs. 1.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd teatralny, przez S. K. — O Kraszińskim, (Odczyt prof. Tarnowskiego), przez S. K. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 2 Марта 1882 года.